



tekst

JULIA MARKOWSKA

redaktor wydania

Często zdarza nam się oceniać ludzi po „opakowaniu”. Długowłosego mężczyznę ubranego w czarne skóry i glany rzadko komu kojarzy się z pokładanym ojcem rodziny, który Pana Boga uważa za swojego Pasterza. Coraz częściej o wierze mają odwagę mówić tylko Ci, którzy potrafią iść pod prąd. Może oni są najbardziej wiarygodnymi świadkami szukania i odnajdywania Boga. Spotkanie z Jackiem Barzyckim było dla mnie wyjątkowe, gdyż spotkałam człowieka, który wbrew schematom potrafi wciąż być sobą. Rockerem z Bogiem w sercu.

Hospicjum domowe jako instytucja ma już swoją siedzibę. Jednak, jak zapewnia pani prezes, **jego serce nie znajduje się w biurze, lecz przy łóżkach chorych dzieci.**

Jeżeli pracownicy hospicjum doznają zaszczytu uczestniczenia w ostatnich dniach czy miesiącach życia dziecka i rodziny, to staramy się to robić jak najlepiej – zapewnia dr n. med. Mariola Lembas-Sznabel, prezes fundacji prowadzącej hospicjum. – Nie jest to oczywiście czas łatwy, ale jeżeli nastolatek, który zdaje sobie sprawę, że umiera, ma siłę uśmiechnąć się, to nie da się tego do niczego porównać.

Siedzibę hospicjum pobłogosławił bp Edward Dajczak. – To miejsce, w którym ludzie mają wystarczająco dużo miłości, serca i profesjonalizmu, aby pochylić się nad chorobą małego dziecka.

Otwarto dziecięce hospicjum domowe

Zaszczyt pomagania



KAMIL LURKOWSKI

Siedzibę hospicjum domowego otworzył i pobłogosławił bp Edward Dajczak

Oddział hospicjum domowego jest częścią placówki szczyńskiego. Do jego koszalińskiej siedziby przy ul. Kościuszki 7 mogą zgłaszać się po pomoc rodzice i opiekunowie z całego województwa. Oprócz pomocy medycznej, psychologicznej, socjalnej mogą liczyć również na pomoc w kompletowaniu sprzętu medycznego.

– Dzięki wsparciu hospicjum potrafimy sprostać opiece nad chorą

córeczką – przekonuje Anna Nowicka, mama chorej Emilki. – Wspaniali ludzie pomagają mi i mężowi nie tylko w sprawach medycznych, ale i zapewniają opiekę psychologiczną. Jest ona naprawdę bardzo ważna, bo gdy wychodzi się z chorym dzieckiem ze szpitala, okazuje się, że za bardzo nie wiadomo, co zrobić z życiem rodziny czy ze swoimi emocjami – podkreśla kobieta.

Julia Markowska

Kolejka do dobra



JULIA MARKOWSKA

Jeżeli ludzie nie wystraszyła ani pogoda, ani kolejka, którą zobaczyli, to znaczy, że są naprawdę zdeterminowani, by pomóc – mówi Monika Berchert, jedna z organizatorek akcji. – Jesteśmy bardzo mile zaskoczeni tak olbrzymim odzewem na nasz apel. Taka ilość chętnych to ewenement w skali kraju – podkreśla lekarka.

Rodzaje antygenów przebadanej krwi zostaną umieszczone w bazie danych ułatwiającej znalezienie „genetycznego brata”, którego szpik kostny może ocalić chorego. Powodem zorganizowania akcji było poszukiwanie życiodajnego szpiku dla Joanny Trybuckiej, lekarki z Koszalina, która choruje na ostrą białaczkę.

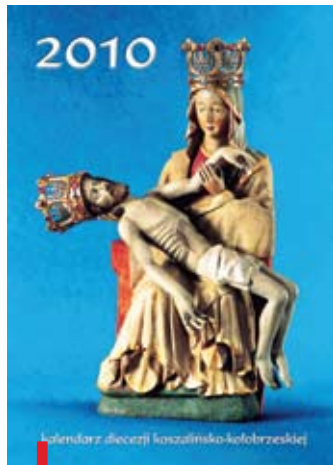
KOSZALIN. Mimo deszczu i zimna 1758 osób przyszło do koszalińskiej politechniki, by zostać dawcami szpiku kostnego

Zmaterializowana modlitwa

KALENDARZ Z POMORSKIMI KOŚCIOŁAMI. Bogusław Światała, znakomity fotografik, przez cały rok fotografował kościoły w naszej diecezji. Z wybranych zdjęć powstał przepiękny kalendarz na 2010 rok.

– Diecezja koszalińsko-kołobrzewska jest niezwykle bogata, gdy chodzi o piękne świątynie – mówi artysta. – Dla mnie przebywanie w tak wyjątkowych miejscach jest jak zmaterializowana modlitwa – zapewnia Bogusław Światała. Fotografik żałuje jednak, że w kalendarzu mieści się tylko kilkanaście zdjęć.

– Jest tyle przepięknych elementów, że za mało życia, by wszystkie za pomocą zdjęć pokazać – ubolewa.



W kalendarzu na 2010 r. znajdują się najpiękniejsze zdjęcia świątyn diecezji koszalińsko-kołobrzewskiej

REPRODUKCJA JULIA MARKOWSKA

Karty parkingowe już nie dla wszystkich

DIECEZJA. – Co z tego, że mam uprawnienia do parkowania na kopercie, skoro wszystkie są zajęte – mówi Paweł Kontarski, słupszczanin, który porusza się na wózku. – Nie wiem, jak to jest, ale osoba, która normalnie chodzi, ma takie same uprawnienia jak ja. Dla mnie dostanie się do jakiegokolwiek urzędu to ogromny kłopot i naprawdę muszę zaparkować blisko. Dla osób mających zdrowe nogi to tylko wygoda i oszczędność czasu.

Takich sygnałów otrzymywaliśmy od Państwa bardzo dużo. Okazuje się jednak, że problem dostrzegł także ustawodawca. Od 23 września zmieniają się zasady

przyznawania kart parkingowych dla osób niepełnosprawnych. Dotychczas otrzymywali je wszyscy mający orzeczoną niepełnosprawność, a według nowych przepisów będą mogli otrzymać je wyłącznie niepełnosprawni, których niesprawność stwierdził Miejski Zespół do spraw Orzekania o Niepełnosprawności. Orzeczenia wydane przez ZUS, MSWiA i KRUS nie będą honorowane. Uprawnienia do korzystania z wyznaczonych miejsc utracą także niepełnosprawni z lekkim stopniem niepełnosprawności, chyba że ich choroba dotyczy narządu ruchu lub układu nerwowego.



Akcje społeczne uświadomiły pełnosprawnym, że nie parkuje się na miejscach za kopertą. Jednak okazało się, że uprawnionych niepełnosprawnych jest zbyt dużo

Inauguracja w sześćdziesięciolatku

KOSZALIN. W II LO im. Władysława Broniewskiego odbyła się miejska inauguracja roku szkolnego. W uroczystościach udział wzięli bp Edward Dajczak, ordynariusz diecezji koszalińsko-kołobrzewskiej, Mirosław Mikietyński, prezydent Koszalina, oraz parlamentarzyści i samorządowcy.

– Jesteście wstawieni w nurt historii. Z jednej strony są wspomnienia, a z drugiej wasze życie wychylone w przyszłość. Zachowajcie jednak pamięć, bo musicie wiedzieć, że pierwszy dzień września to nie tylko inauguracja roku szkolnego – powiedział bp Edward Dajczak uczniom. – Na ten rok szkolny chciałbym zadedykować wam jedno słowo z Ewangelii: „Uczcie się też przebaczać”. Nie tylko wydarzeniom w historii, które już były i których się już nie cofnie. Aby żyć pięknie pomiędzy sobą na co dzień, musicie do tej postawy sięgnąć – mówił. Biskup poświęcił także wybudowane na nowo skrzydło szkoły, w którym znalazły się sale do nauki języków obcych.

– Jak wspominają nauczyciele, gdy prowadzili tutaj zajęcia,



Zgodnie z tradycją pierwszoklasiści złożyli uroczyste ślubowanie

to najważniejsze było, by nie zapomnieć naczynia na deszczówkę, gdyż dach stale przeciekał – wspominał Wiktor Kamieniarz, dyrektor szkoły. – I tak młodzież nie miała czasu nudzić się na lekcji, bo wciąż trzeba było wymieniać miski. Teraz na szczęście są to już tylko wspomnienia.

To było już 60. rozpoczęcie roku w II LO. Najlepsze koszalińskie liceum początkowo mieściło się przy ulicy Jedności 9, a do budynków, w których funkcjonuje dziś, przeniosło się dopiero w 1965 roku.

Muzealne statystyki

SŁUPSK. Ok. 150 tys. turystów odwiedziło w tym sezonie obiekty Muzeum Pomorza Środkowego. Frekwencja tym razem nie zależała tylko od pogody, choć jak zwykle w deszczowe dni była wyższa. Turyści często oszczędzali i poprzestawali na obejrzeniu zabytków z zewnątrz. – Widywałem grupy, którym przewodnik na dziedzińcu zamkowym opowiadał o naszych zbiorach, jednak nie wchodzili ani do zamku, ani do młyna, poprzestając na obejrzeniu Spichlerza Richtera, do którego wstęp jest wolny – mówi Mieczysław Jaroszewicz, dyrektor placówki. Sukces odniosła „Dziecięca zagroda”, program realizowany przez etnografów w filii muzeum w Swołowie: jednorazowo na niedzielnych imprezach było nawet 800 osób. Ogółem muzeum zarobiło w sezonie ok. 800 tys. zł. Pieniądze będą przeznaczone na dalsze remonty obiektów i zakupy nowych eksponatów.



Choć turyści czasem oszczędzali na biletach, to muzeum zarobiło ok. 800 tys. złotych

GOŚĆ KOSZALIŃSKO-KOŁOBRZESKI

koszalin@gosciemiedzielny.pl

ADRES REDAKCJI: 75-256 Koszalin
ul. Stoczniewców 11-13

TELEFON 094 341 03 14

REDAGUJĄ: ks. Dariusz Jaślarz

– dyrektor oddziału,

Julia Markowska, Karolina Pawłowska

Pielgrzymka rowerowa

Do Ziemi Świętej na rowerze

U ks. Mariusza na ścianie wisi wielka mapa. Coraz mniej na niej miejsc, których nie przecinają kolorowe linie. **Po trzynastej wyprawie nie tak łatwo wyruszyć w nieznanę.**

Z dobywali już Kijów, Krym, Wilno, Sankt Petersburg, Medjugorie, Rzym, Ateny, La Salette... Nie sposób zliczyć setek miast i miasteczek mijanych na trasie. Raz zahaczyli nawet o Afrykę. Zawsze na rowerach!

Nie tylko dla supermana

Tym razem do przejechania mieli 2100 kilometrów. A na pokonanie tej trasy 12 dni.

- Najdłuższy dzienny odcinek - 212 kilometrów. I to wcale nie było z górki - mówi ks. Mariusz Ambroziewicz, organizator wyprawy.

Choć to jego 13. wyprawa, przyznaje, że bywały momenty trudne.

- Przez kilka dni męczył nas deszcz, ale każdy inaczej łapał zmęczenie i na innym etapie. Dla mnie najgorszy był pierwszy dzień, choć to był najkrótszy odcinek. Gdyby



Dziewięcioosobowa ekipa miała do pokonania ponad 2000 km

nie Marcin - masażysta, to pewnie bym nie dojechał - wyznaje.

Niewiele brakowało, by o Jerolimie mogli jedynie pomarzyć.

- Od czasu wojen izraelsko-palestyńskich między Europą a tą częścią Azji promy pasażerskie nie płyną. Przez kilka miesięcy, nawiązując znajomości z różnymi biurami, instytucjami czy też przewoźnikami, przede wszystkim po stronie greckiej, dostaliśmy światełko, że coś - tzn. prom - popłynie - opowiada ks. Adam Jokiel, kierowca, kucharz, kwatermistrz, a przede wszystkim logistyk wyprawy.

Promu jednak nie było. Mieli do wyboru albo zwiedzać Grecję, albo... lecieć samolotem do Hajfy. Polecieli.

Zgodnie przyznają, że rowerowe pielgrzymowanie daje dużo więcej możliwości na poznanie kultur i ludzi. No i tyle czasu, ile sami zaplanują. Przekonują, że nie potrzeba do tego szczególnych predyspozycji.

- Założenie jest takie, że trzeba przed wyprawą zrobić połowę dystansu. Często to tylko założenie. Ja kocham rower, od wczesnej wiosny robię swoje kilometry, tym bardziej że okolice Połczyna-Zdroju same do tego zachęcają. Wystarczy zwykła aktywność, to nie jest zadanie dla supermana, no ale nie da się też wstać od biurka i ruszać na wyprawę - argumentuje ks. Jacek Działosz.

Czasami pod górkę

Nie brakuje jednak problemów, z którymi każdy rowerzysta musi się zmierzyć. Dla Marcina Nowaka zaczęły się jeszcze w Polsce.

- Uniknąłem zderzenia z barierą, ale za szybko wszedłem w zakręt. Było ślisko, musiałem hamować i... lot przez kierownicę. Skończy-

ło się na podrapanej ręce i poruszanym rowerze - opowiada. - Czwartego dnia złapałem kontuzję. Ściągnę Achillesa odmówiło mi posłuszeństwa i ostatni etap jechałem w busie. Na szczęście pielgrzymom udało się uniknąć poważniejszych wypadków.

Nie wszystko da się zapiąć na ostatni guzik. Trzeba coś zostawić Panu Bogu.

- Wyjeżdżając, wiedzieliśmy, że mamy dwa noclegi na Ukrainie. A następne pewne miejsce to Ateny. Czyli cała Rumunia, Serbia i Bułgaria w pełnym zaufaniu, że Pan Bóg postawi nam na drodze dobrych ludzi. Na zasadzie: wspomóż Boże, bo tworzę - śmieje się ks. Mariusz. Dobrych ludzi na szczęście nie zabrakło.

We znaki dawały się też nieuniknione górskie podjazdy.

- Dawały czas na przemyślenia. Głównie myślałem nad tym, co ja robię na tym rowerze - opowiada Błażej Łosoś. Włożony wysiłek jednak się opłacił.

- To, co najistotniejsze w tej pielgrzymce, to zwiedzanie miejsc, w których żył i działał Jezus Chrystus, w tych niewralgicznych dla historii zbawienia miejscach uczestniczyć w Mszy św. Wyciszenie, skupienie, modlitwa były zwieńczeniem wysiłku włożonego w pielgrzymowanie - relacjonuje Marcin Muszyński.

- To rekompensowało trud pokonanych wcześniej kilometrów, które wymagały wytrzymałości fizycznej, odporności psychicznej i bycia mocnym... w wierze - dodaje Marta Grzeszczak, jedyna kobieta w ekipie.

Karolina Pawłowska



W busie jedzie wszystko, co będzie potrzebne na trasie, nawet zakrystia zmieszczona w walizce. **PO PRAWIEJ: Niekiedy zmęczenie bierze górę. Wtedy każde miejsce do spania jest dobre**



Modlitwa o pokój na Górze Chełmskiej

Polsko-niemiecki znak pokoju

Obok pojednań dokonujących się na szczytach władz państwowych, są także te **małe, lokalne pojednania międzyludzkie**. Kto wie, czy nie bardziej potrzebne niż spory o historię.

Jednym z takich znaków pojednania, których szczególnie potrzeba na Pomorzu Zachodnim, była Msza św. pro pace (o pokój) w sanktuarium Matki Bożej Trzykróć Przedziwnej na Górze Chełmskiej, gdzie modlili się wspólnie kapłani z Polski i Niemiec.

Pojednanie z człowiekiem

– Ludzie religii muszą się spotykać i zapraszać, by mówić o religii jako o świecie pokoju, i swoich wyznawców na całym świecie przekonywać do tego, że inaczej nie wolno, bo religia przestaje być wiarygodna – tłumaczy ideę polsko-niemieckiej modlitwy ks. Henryk Romanik, kustosz sanktuarium. Zdaniem duszpasterza, pojednanie między narodami polskim, niemieckim i rosyjskim dokonuje się każdego dnia, podczas mniejszych i większych spotkań, także na gruncie lokalnym.

– Nie sposób pojednać się, gdy nie ma przyjaciół po tej drugiej stronie. Trudno pojednać się z całym narodem, ze spotkanym człowiekiem jest to dużo łatwiejsze – przekonuje ks. Romanik. – Mam wśród Niemców wielu wypróbowanych przyjaciół. Wówczas pojednanie nie jest problemem, nawet gdy mamy świadomość, że nasi krewni byli na wojnie i strzelali do siebie. To po prostu historia. Pojednanie to nie jest rodzaj negocjacji o tym, kto ma rację. Jeśli ktoś chce żyć w kłamstwie, jego sprawa – my idziemy dalej.

To właśnie przyjaźń z niemieckim duszpasterzem, ks. Peterem Wolfem, położonym między narodowej wspólnoty księży



Impulsem do zorganizowania na Górze Chełmskiej modlitwy o pokój stała się przyjaźń polskiego i niemieckiego duszpasterza

diecezjalnych Szentsztat, stała się impulsem do zorganizowania polsko-niemieckiej modlitwy o pokój.

– Gdy przyjąłem zaproszenie mojego przyjaciela, by przyjechać do Polski na początku września, w pierwszej chwili nie uświadomiłem sobie, co to za data. Dopiero w drodze, 1 września, coraz wyraźniej docierało do mnie, jaka to historyczna godzina. Tego ranka wstydiłem się tego, co wydarzyło się przed siedemdziesięciu laty, gdy hitlerowskie oddziały z mojej ojczyzny zaatakowały waszą ojczyznę. Jeszcze bardziej zapragnąłem tu przybyć, by mówić o pokoju – wyznaje ks. Wolf.

W wygłoszonej homilii ks. Wolf przytoczył fragmenty opublikowanego ostatnio oświadczenia biskupów Polski i Niemiec w związku z 70. rocznicą wybuchu II wojny światowej. W zakończeniu tego tekstu biskupi deklarują: „Chcemy odpowiedzieć na tamte wydarzenia poprzez nasze pojednanie, poprzez naszą modlitwę i poprzez twórczą pracę dla pokoju we wspólnocie z Księciem Pokoju”.

– Cieszę się ogromnie, że nasi biskupi zdecydowali wyjść sobie

naprzeciw, by mówić o różnych sprawach i wydarzeniach, niezwykle trudnych, ale i niezwykle ważnych dla obu narodów – dodaje ks. Wolf. – W tych dniach jeszcze bardziej stało się dla mnie jasne, że porządek wspólnoty europejskiej budowany być nie może tylko na fundamencie gospodarczym, ekonomicznym, ale o pokoju trzeba mówić przede wszystkim w kontekście religii i doświadczeń duchowych.

Budowniczy mostów

Duszpasterz przywołał zarazem postać kardynała Ignacego Jeża, pierwszego biskupa diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, byłego więźnia obozu w Dachau. Zdaniem ks. Petera Wolfa, kardynał Jeż nie tylko dla Polaków jest czytelnym znakiem pojednania polsko-niemieckiego.

– Miałem okazję spotykać się z biskupem Jeżem zarówno w Polsce, jak i w Niemczech. Przy każdym spotkaniu dawało się odczuć, że jest człowiekiem pojednania, który odbudowuje pozrywane przyjaźnie między ludźmi – mówi ks. Wolf. – Ci Niemcy, którzy mieli okazję poznać kardynała Ignacego

Jeża, z pewnością uważają go za osobę, która buduje mosty między naszymi dwoma narodami.

Działania kard. Jeża zmierzające do tworzenia wspólnej powojennej przyszłości obydwu narodów zyskały mu przydomek „budowniczego mostów”. Przypominał o tym w berlińskiej katedrze podczas Mszy św. w 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej abp Kazimierz Nycz.

– Mimo że doznał w czasie wojny od Niemców tyłu cierpienia, przez całe życie budował mosty pojednania między naszymi narodami i Kościołami. Byłem jego następcą w Koszalinie. Pamiętał o trudnych czasach wojny i obozu, głosił prawdę trudną w miłości, umiał zawsze przebaczać. Opowiadał mi nieraz, jak przy wyzwoleniu obozu Amerykanie wystrzelali niemieckich strażników. Mówił też: – Do dziś się wstydzę tego, że patrząc na tę egzekucję naszych oprawców, cieszyłem się. To przyznanie się do tych ludzkich emocji było znakiem jego wielkości – mówił wówczas abp Nycz.

– Takich ludzi nam potrzeba. Obyśmy także my do nich należeli.

Karolina Pawłowska

Ranny w Afganistanie żołnierz złożył kwiaty dla Matki Bożej Skrzatuskiej

Ma jeszcze coś do zrobienia

Powracający po leczeniu do rodzinnego miasta ranny w Afganistanie **st. szer. Emil Uran** dziękował **Maryi za cudem ocalone życie.**

Kiedy 20 sierpnia ubiegłego roku wysłano patrol, st. szer. Emil Uran zgłosił się na ochotnika. Jechał w jednym z trzech opancerzonych pojazdów, kiedy najechali na minę.

Cudem ocalony

Zdaniem amerykańskich saperów materiał wybuchowy mógł ważyć nawet 150 kg. Już połowa takiego ładunku może zniszczyć czołg. Fala uderzeniowa zgniotła grubą na kilkadziesiąt milimetrów blachę, wyrwała ważące ponad 400 kg drzwi. Paweł Szwed i Paweł Brodzikowski zginęli natychmiast, Waldemar Sujdak przeżył kilka chwil dłużej. Emil Uran został wyrzucony na odległość 10 metrów.

Siła, która wypchnęła go z jego stanowiska w wieżyczce strzelniczej, zerwała grube przypinające go pasy. Impet, z jakim uderzył o ziemię, roztrzaskała pancerne płyty w jego kamizelce.

Jak te pasy puściły, jak Emil został wyrzucony i jakim cudem nie stracił ani ręki, ani nogi? – zdumiewa się Stanisław Uran, ojciec żołnierza. – Na dodatek znalazł się tam polski śmigłowiec, którego pilot zdecydował się na lądowanie, nie bacząc na ryzyko. Zabrał rannego Emila do szpitala. W czasie lotu maszyna została ostrzelana. Jedna z kul trafiła w wał. Dziwnym trafem go nie uszkodziła.

Niezwykły pacjent

Lekarze szpitala w bazie Bagram przyjęli szeregowego Urana w stanie krytycznym. O życiu decydowały minuty. Wkrótce rannego żołnierza przetransportowano do amerykańskiego szpitala wojskowego w Rammstein na terenie Niemiec. Tam przyjelecieli jego rodzice.

Specjaliści przeprowadzając kolejne operacje nie mogli wyjść z podziwu. Jak to możliwe, że organizm tak szybko się regeneruje? To graniczyło z cudem – relacjonują rodzice. – Po przeprowadzeniu pięciu operacji przecierali ze zdumienia oczy, że człowiek, któremu niedawno wycinali nerkę, śledzionę i wzmacniali



Dziadkowie i rodzice ocalonego żołnierza wraz z kustoszem skrzatuskiego sanktuarium

kręgosłup stalowymi drutami, próbuje opuszczać łóżko i samodzielnie chodzić. Po dwóch, trzech dniach syn już stawał na nogach. Takiego pacjenta jeszcze nie mieli – opowiada z przejęciem Anna Uran.

Po trzech tygodniach, kiedy rodzice przywieźli go do Warszawy, natychmiast poddał się rehabilitacji.

Odwaga i wiara

Emil Uran w Skrzatuszu się urodził i został ochrzczony. Jest człowiekiem mocnej osobowości i mocnej wiary. Nie lęka się niebezpieczeństw frontowych, nie wstydi się religii.

– Nosił przy sobie obrazek z wizerunkiem naszego papieża Jana Pawła II, a dałam mu jeszcze obrazek naszej Pani Skrzatuskiej – mówi Genowefa Łaptosz, babcia Emila. – Powiedział, że zawsze będzie miał je przy sobie. Widać mój wnuk ma jeszcze coś do zrobienia na tej ziemi, bo został ocalony – przekonuje.

– Dla mnie to oczywiste – mówi ks. Józef Słowik, kustosz Sanktuarium Matki Bożej

Bolesnej w Skrzatuszu. – Odnotaliśmy już tu wiele takich wydarzeń, które są dowodem szczególnego działania Matki Bożej Skrzatuskiej. W naszym sanktuarium nie ma dnia, żeby ktoś nie przyjechał podziękować za to, o co wcześniej się tutaj modlił – zapewnia.

Powierzony Maryi

Starszego szeregowego Emila Urana rodzice powierzyli opiece Matki Bożej Bolesnej jeszcze przed wyjazdem do Afganistanu.

– Poprosiliśmy o odprawienie Mszy św. w sanktuarium skrzatuskim o szczęśliwy powrót syna – opowiada Anna Uran. To było ponad rok temu.

– Odkąd Emil zapowiedział, że szkuje się do Afganistanu miałem jakies złe przecucie, że on stamtąd nie wróci – wspomina Stanisław Uran.

– To, że nasz syn żyje, jest prawdziwym cudem. Cały czas modliłem się do Matki Bożej i moje prośby zostały wysłuchane – wyznaje ojciec ocalonego żołnierza.

Beata Stankiewicz

Młody chce być in



Jacek Barzycki miał być jednym z uczestników panelu „W poszukiwaniu zagubionej owcy” w czasie Diecezjalnego Spotkania Młodych w Skrzatuszu. Niestety, koszaliński muzyk musiał odwołać swój przyjazd. Nam jednak bardzo zależy, by nasi czytelnicy mieli okazję poznać człowieka, który nie tylko tworzy i gra wspaniałą muzykę, ale potrafi także poradzić sobie w sytuacjach trudnych. Z **Jackiem Barzyckim**, muzykiem rockowym, rozmawia Julia Markowska.

JULIA MARKOWSKA: Muzyk rockowy, który nie miał nic wspólnego z narkotykami i kocha swoją jedyną żonę. Nie za bardzo pasujesz do szablonu muzycznego show-biznesu.

JACEK BARZYCKI: – Nie rób ze mnie świętego. Oczywiście zdarzyło się, że błądziłem i szedłem nie tą drogą, co trzeba, ale dzięki wsparciu Ducha Świętego wracałem tam, gdzie było moje miejsce. Najczęściej pomagali mi w tym ludzie, którzy zupełnie niespodziewanie kierowali mnie na dobrą drogę. Takich sytuacji było bardzo dużo

ny

i nie były to zbiegi okoliczności, lecz obecność Ducha Świętego w moim życiu. Jestem pewny, że tak jest w życiu każdego człowieka. Trzeba tylko pozwolić sobie, by te znaki dojrzeć, odczytać. Otworzyć oczy.

Łatwo powiedzieć. Aby dojrzeć, trzeba przystanąć, pomyśleć nad sobą i życiem. Mało kto ma na to czas.

– Zdaję sobie sprawę, że w wieku lat dwudziestu nikt nie potrafi się zatrzymać. Ale tak naprawdę człowiek niestety nie mądrzeje do starości. Domeną ludzi w tym wieku jest pęd do wygrywania, bycia coraz szybszym, najwspanialszym. Zachłystują się takim życiem i nagle budzą się, gdy pojawia się jakiś problem. Nie ma takiej możliwości, że powiem komuś: zastanów się nad swoim życiem, wyhamuj. Człowiekowi, który uważa się za zdrowego, trudno wytłumaczyć, że życie nie wtedy ma sens, kiedy pędzimy, tylko wtedy, gdy mamy czas na wszystko.

Trzeba mieć dużo odwagi, by potrafić powiedzieć „nie” i żyć po swojemu.

– To nie jest niestety zbyt popularne. Jakoś tak jak wchodziłem do knajpy i słyszałem: chodź zapalimy czy też wciągniemy kreskę, udawało mi się powiedzieć „nie”. Był to dylemat, bo albo będę takim dobrym kolegą, przysiędę się i jest moment jak w czasie trzęsienia ziemi, ty jesteś w epicentrum, przynajmniej tak Ci się zdaje. Albo mówisz „nie” i wracasz do kupi, którzy właśnie pakują po koncercie sprzęt do busa, by do jutra odpocząć i dać następny koncert. Wiem, że trudno jest powiedzieć „nie”, będąc w grupie rówieśników. Ale taka odmowa ma największy sens. Bo mamy szansę sami kierować swoim życiem, a nie kierować się instynktem stadnym.

Chodziłeś do Kościoła, gdy władze nie patrzyły na to zbyt przychylnym okiem, wzięłeś się

za rocka, gdy mało kto ten wybór rozumiał. Skąd w Tobie tyle przekory?

– Przekora jest elementem poznania, bo młody człowiek chce się odróżniać, być wyjątkowy, i to jest zupełnie naturalne. Pojawia się taki dylemat między światem, w którym żyjemy, a Orwellowską wizją rzeczywistości. Czyli niech każdy będzie sobie inny albo ubierzmy wszystkich w takie same mundury i wtłoczmy w życiowe schematy. Ja jestem za wolnością i uważam, że taką jedyną i prawdziwą daje wiara. Pan Bóg dał nam wolną wolę, dzięki temu możemy powiedzieć „tak” albo „nie”. Problem jest w nas, bo my jesteśmy generalnie hipokrytami. Żeby było wygodniej, to zgadzamy się na wiele rzeczy. Jedną z nich jest stosunek do sakramentów świętych. Ostatnio spotkałem się z ludźmi, którzy wzięli ślub kościelny i nie zamierzają ochrzcić swojego dziecka. Takich przypadków jest bardzo wiele i zastanawiam się, po co to wszystko. Przecież skoro dajemy słowo, to niech ono coś znaczy. Jak już zamierzamy pobrać się dla wesela, to zdajmy sobie sprawę z tego, co obiecujemy przed Bogiem, to nie są tylko formułki, ale słowa mające ważną treść.

Twoje największe sukcesy zaczęły się od zwycięstwa w niezwykle prestiżowym konkursie Marlboro Rock In '94. Media, wywiady, koncerty. W tamtych czasach pojawienie się na szklanym ekranie nie było takie łatwe jak dziś. Woda sodowa nie uderzyła do głowy?

– Po ostatnim występie wyszliśmy z kumplem ze Stodoły, by „podgumować” konkurs. W sumie byliśmy bardzo zadowoleni, bo doszliśmy do finału, a każdy przecież mówił nam, że się nie da. Nie liczyliśmy na zwycięstwo, ale byliśmy z siebie zadowoleni. I wtedy przechodziła obok nas Kasia Nosowska i zaczęła nam gratulować. Myśleliśmy, że się z nas nabija, ale gdy przybiegł cały szczęśliwy Tośka, nasz perkusista, to uwierzyliśmy. To nie było tak, że z dnia na dzień coś się nam udało, po prostu zespół Gdzie Cikwiaty pracował na to wiele lat. Może dlatego przyjęliśmy to z radością, ale nie odbiło nam za bardzo. Wiedzieliśmy, ile

to wszystko nas kosztowało wyczerpaniem i ciężkiej pracy.

Zagrałeś z zespołem ponad 300 koncertów w Europie, wydaliście trzy płyty. Jesteś autorem teksów, a wielu ludzi, z którymi rozmawiałam, przyznaje, że miały one wpływ na to, jak żyli i jak się bawili.

– Ja, śpiewając ze sceny, nauczyłem się, jaką siłę ma słowo. Jeżeli napiszę jakiś tekst, dzieło oddziałuje nie tylko na słuchacza, ale i na twórcę. Myślę, że jeżeli coś publicznie oświadczyłeś, to zawsze może być sytuacja, że ktoś ci to przypomni po 25 latach, że powiedziałeś to i to. Dlatego nigdy nie mów rzeczy, których będziesz się wstydził. Ja się nie wstydzę właściwie niczego. Dlatego, że piszę o tym, co myślę. Jeżeli ktoś znajdzie w tym jakąś niecisłość, to przecież ja nie jestem politykiem, mam prawo do pomyłki, bo takie jest życie ludzkie. Ale trzymanie się zasad i prawdy w tworzeniu bardzo ułatwia życie, nie trzeba grać.

Wraz z żoną poinformowaliście opinię publiczną, że chorujesz na stwardnienie rozsiane. Zrobiliście to właśnie po to, by nie musieć niczego udawać?

– Bardzo długo zastanawialiśmy się, czy informować o chorobie, czy też nie. Ponieważ strona internetowa powstawała w momencie, kiedy dostałem diagnozę, pomyślałem, że skoro dostałem do ręki narzędzie, to z niego skorzystam. Choroba jest częścią mnie, jak kolor oczu czy długość włosów. Zawsze się bałem i boję nadal takiego momentu, że ktoś zacznie patrzeć na to, co robię, przez pryzmat mojej choroby. To, że coraz częściej używam laski, to integralna część mnie, ale nie ma wpływu na to, co robię.

Co się od tego czasu zmieniło?

– Spotkałem się z takimi opiniami, że moja twórczość jest bardziej dojrzała. Zaczęłam patrzeć na życie w sposób bardziej filozoficzny, z dystansu. Nie marzę o kolejnych gadżetach do zdobycia, tylko o życiu. Zmieniają się moje kontakty międzyludzkie, inaczej patrzę na żonę, kolegów z zespołu, przyjaciół. Zaczynam doceniać to, że ludzie poświęcają mi czas i są blisko. Jest to dla mnie

o tyle wartościowe, że ze mną nie można już za bardzo poimprezować i poszaleć, bo niestety, już się do tego nie nadaje.

Pisziesz teksty, tworzysz muzykę. Skąd bierzesz na to wszystko siły, no i przede wszystkim chęć? Nie wygodniej usiąść w fotelu i „zając się” chorowaniem?

– Nagle okazuje się, że twój organizm staje się jak urządzenie, któremu kończy się gwarancja. Kolejne części zaczynają się psuć i zaczynają ciebie ograniczać. Tak jest w moim przypadku. Mogę jeszcze grać i tworzyć, z rysowaniem jest już gorzej. Ale dopóki człowieka coś pochłania, zdaje mu się, że może wszystko. Tym bardziej że dzięki inspiracji Ducha Świętego udaje mi się jeszcze zrobić coś fajnego, wyjątkowego. Na publikację czeka moja płyta, powstają kolejne piosenki, nie zamierzam żegnać się jeszcze ze światem, choć będę starał się z pokorą przyjąć to, co dostanę.

Nie masz czasem dość tej walki?

– Czasami mam. Człowiek ma takie chwile, że jest wkurzony na cały świat i na Pana Boga. Przecież jest tylu ludzi, którzy są zdrowi, piją wódkę, biorą narkotyki i robią wiele złych rzeczy. Mają wszystko, czego im potrzeba do życia. A ja nie. Nie mogę robić tego wszystkiego, co bym chciał, bo choroba przyspawała mnie do ziemi. Czasami mnie te ograniczenia strasznie denerwują, kłócę się z Panem Bogiem i mam pretensje. Bo przecież żyłem inaczej, nie zasłużyłem na takie traktowanie. Na szczęście mam blisko siebie osoby, które potrafią mnie pociągnąć za sobą. Czasami za włosy. To jest rodzina. Żona i córka.

Jacek Barzycki

Wokalista, gitarzysta, kompozytor i autor tekstów, aranżer i producent muzyczny, założyciel i lider grupy rockowej Gdzie Cikwiaty, z którą w latach 90. stworzył 3 albumy, zagrał ponad 300 koncertów w kraju i za granicą. Od 2005 roku rozpoczął solową działalność.

Iwięcino wyznacza kierunek

Swojskie zabytki



JULIA MARKOWSKA

Nagrodzony przez papieża kościelny wraz z całą społecznością nadal dba o swoją świątynię

Po raz kolejny **doceniono radę parafialną i byłego proboszcza** dbających o iwięciński kościół. Społeczność małej wioski może zrobić bardzo dużo, wystarczy, że nie brakuje jej chęci.

W ramach Europejskich Dni Dziedzictwa Kulturowego marszałek województwa wyróżnił ludzi i społeczności potrafiące dbać o zabytki. W gronie kilku laureatów prestiżowej nagrody znaleźli się członkowie rady parafialnej z Iwięcina oraz ks. Tadeusz Gorla, były proboszcz pracujący obecnie w Dobiesławie. Wyróżnieni

otrzymają, 12 września dyplomy uznania „Swojskie Zabytki”. Wręczy je Władysław Husejko, marszałek województwa.

– Nagrodę otrzymuje tylko kilka osób lub instytucji z całego województwa rocznie. To wyróżnienia za pracę na rzecz krajobrazu kulturowego – mówi Cezary Nowakowski, dyrektor Biura Dokumentacji Zabytków. – Nieczęsto zdarza się, że otrzymuje je rada parafialna – podkreśla urzędnik.

W uzasadnieniu wyróżnienia jako główne zasługi rady parafialnej dyrektor wymienia konsekwentne, wieloletnie działania na rzecz ochrony unikatowego zabytku, którym jest średniowieczny kościół w Iwięcinie, utworzenie lapidarium na historycznej nekropolii wiejskiej, dbałość o pierwotny układ ruralistyczny wsi.

Proboszcz został wyróżniony za wspieranie prac restauratorskich, m.in. świątyni w Iwięcinie (w tym ołtarz główny, epitafia, ławki). Za jego kadencji w kościele zainstalowano systemy antywłamaniowy i przeciwpożarowy.

– Iwięcino powinni być dla nas wzorcem i wyzwaniem. Od tej społeczności trzeba się uczyć, jak dbać o piękno nie tylko sakralne, ale i historyczne – zaznacza bp Edward Dajczak. – Wyjątkowy lider tej grupy, Zygmunt Kostrzewa, potrafi zmobilizować do pracy innych – podkreśla biskup.

Zygmunt Kostrzewa, który, kontynuując dzieło swojego brata, jako kościelny zajmuje się iwięcińską świątynią 25 lat. To z jego inicjatywy w 1999 roku powstała nieoczywiście aktywnie działająca rada parafialna, której udało się

zebrać kilkaset tysięcy złotych na renowację świątyni. „Prosty kościelny” – jak mówi o sobie Zygmunt Kostrzewa – za swoją pracę otrzymał od papieża Benedykta XVI w zeszłym roku medal Benemerenti.

– Nie ma nic niezwykłego w naszej pracy – mówi skromnie kościelny. – Po prostu spełniamy nasz obowiązek. Przecież gdyby czteronastowieczną świątynię zostawić na zmarowanie, to byłby największy grzech. U nas w Iwięcinie i sąsiednich wioskach ludzie pomagają, jak tylko potrafią najlepiej.

Natychmiastowego remontu wymaga dach po południowej stronie kościoła. – Tym razem sami nie damy rady – martwi się Zygmunt Kostrzewa.

jm